

Znowu nas zalało

Przez Polskę dwa razy w krótkim odstępie czasu przelała się powódź. To kolejna w ciągu ostatnich kilkunastu lat wielka woda, nazwana powodzią stulecia.

Przyniosła ona ogromne straty materialne, śmierć ludzi i wielu zwierząt. Spowodowała kolejną dyskusję o stanie rzek, nieskuteczności ochrony przeciwpowodziowej, wreszcie zrodziła ataki wymierzone w ekologów i... bobry. Tych pierwszych oskarżano o protesty przeciw budowie wałów. Te drugie o kopanie w wałach nor, a tym samym o ich osłabianie.

To jednak tylko tani populizm, wskazywanie winnych tak, aby prawdziwe przyczyny nie ujrzały światła dziennego. A te są tak oczywiste, że powtarzanie ich na łamach pisma ekologicznego, zaczyna być nudne - wylesienia, likwidacja bagien i terenów podmokłych, utrata torfowisk, oczek wodnych, zbyt wąsko położone wały (które dodatkowo są przestarzałe i nie remontowane), kult regulowania i betonowania rzek i potoków, brak polderów. Absurdem jest wreszcie to, że w Polsce wciąż wydaje się pozwolenia na budowę na terenach, które woda może zalać bez problemów. Czemu to służy? Pewnie generowaniu strat w przyszłości.



Potok Lubatówka wpada do Wisłoka, czerwiec 2010. Fot. Grzegorz Bożek

Kilka tygodni temu, w momencie największych opadów, obserwowałem coraz wyższy poziom dwóch rzek mojego miasta - Wisłoka i Lubatówki. Zastanawiałem się, co może się stać, jeśli deszcz będzie padał kolejny dzień, a co wtedy, jeśli nie przestanie padać za dwa dni... Wreszcie, co stanie się, jeśli nie przestanie nawet po tygodniu? Przecież byłaby to największa woda, jaką miasto widziało w ostatnich stu latach. Wtedy oczywiście byłoby, że żaden wał nie pomoże. Deszcz padał, centymetrów przybywało, sytuacja stawała się coraz mniej wesoła. Część najniższej położonych domów zalało bardzo szybko, kolejne stopniowo doświadczały zbliżającej się wody. Ludzką bezradność wobec żywiołu pokazał przykład nieodległego Jasła, gdzie 1/3 powierzchni miasta znalazła się pod wodą. Panią burmistrz stać było jedynie na utyskiwania, że to wszystko przez brak zapory Kąty-Myscowa.



Stadion powodziowy, Krosno, lipiec 2004. Fot. Grzegorz Bożek

Trend jednak się nie zmienia - kolejne rzeki poddawane są regulacjom, oczywiście w imię lepszej ochrony przeciwpowodziowej. Niemal nikt, poza nieliczną grupą przyrodników, nie myśli o zwiększeniu retencji, by zatrzymać wodę. Pogląd dominujący wśród włodarzy wielu miast sprowadza się do wdrożenia w życie filozofii „niech od nas woda jak najszybciej spłynie w dół”.

W wielu miejscach są domy, które trzeźwo oceniając, nie powinny tam w ogóle powstać. Do nich woda dociera nawet przy niespecjalnie dużej powodzi. W moim Krośnie potrafię bez trudu wskazać kilkanaście domów, które najlepiej byłoby przenieść na wyżej położone miejsce, ponieważ obecna lokalizacja jest niebezpieczna dla życia ludzi, o notorycznie powtarzających się stratach materialnych ich właścicieli nie wspominając.

I chociaż są to być może zaszłości sprzed lat, efekty błędów w planowaniu (lub jego braku) popełnione kiedyś - czas wreszcie zmienić podejście do zagospodarowania przestrzennego w taki

sposób, aby naprawdę uwzględnić „wielką wodę”. Na razie zmiany są wprowadzane zbyt wolno, choć mogą one przynieść korzyści zarazem ludziom, jak i przyrodzie. Kilka polderów powstałych po powodzi z 1997 r. - nie załatwia sprawy. A granie na czas na pewno nie przyniesie korzyści w tym przypadku.

Obudźcie się, panie i panowie urzędnicy. Retencja jest priorytetem. Regulacje i betonowanie to ślepa uliczka. A same wały, choćby najnowocześniejsze i jeszcze wyższe, przed dużą wodą dobytku człowieka nie uchronią.

Grzegorz Bożek